

Aleksandra Nawarycz

Recenzja filmu Wiery Storożewej: „9 dni i jeden poranek”

## **PODRÓŻ BEZ ZWIERZĄT DOMOWYCH**

Nowy film Storożewej zaskakuje. Kiedy kilka lat temu „Sputnik” zabrał widzów w „Podróż ze zwierzętami domowymi”, obraz reżyserki wywołał odczucia nieco mieszane. W swoim debiucie Storożewa opowiada o Natalii, która po śmierci dużo starszego męża próbuje wyrwać się ku nieznanemu, lepszemu życiu, odkryć swoje prawdziwe potrzeby i odzyskać utraconą autonomię. Mieszkająca w pobliżu torów kolejowych bohaterka, symbolicznie odcięta od prawdziwego, pulsującego świata, poznaje Siergieja i zaczyna budować swoją nową codzienność, która przynosi jej wymarzoną wolność, ale też będące jej rewersem ograniczenia. Niezwykłe plastyczny i wyciszony do niezbędnych dialogów obraz rozczarowuje jednak nieznośną miejscami manierą oniryzmu i poetyckości, a kontemplacyjna wytrzymałość widza zostaje wystawiona na ciężką próbę.

W wypadku „9 dni i jednego poranka” jest zupełnie inaczej. Poczawszy od samej bohaterki. Zawsze elegancka Anna, przeciwieństwo zdominowanej przez męża i zaniedbanej Natalii, mieszka w Paryżu, pracuje jako modelka i żyje w związku z fotografem. Jest współczesnym synonimem sukcesu i jednocześnie Kopciuszką, który doskonale pamięta ponury początek bajki. Miała dziesięć lat i zerowe szanse na nowych rodziców, kiedy adoptowała ją para Francuzów i z rosyjskiego domu dziecka trafiła do zachodniej metropolii. Poznajemy ją, kiedy opowiada tę historię dzisiejszym mieszkańcom sierocińca jako charytatywna ambasadorka firmy kosmetycznej, a także strażniczka nadziei i „marzeń, z których nigdy nie wolno rezygnować”.

Storożewa każe nam patrzeć na Annę jako na ucieleśnienie snu o lepszym życiu, by po chwili oświetlić tę postać z zupełnie innej perspektywy. W prowincjonalnym mieście, do którego wraca po latach, Anna jest bohaterką i obietnicą zmiany – adresatką średnio taktownych napomknięć o zrujnowanych toaletach w sierocińcu i śmiałych próśb burmistrza o kontakt z francuskim ministrem. Jest gościem specjalnym akademii na jej cześć, obiektem westchnień i zazdrości, postacią z jakiegoś zupełnie innego rejestru, jaskrawo odstającą od przasnej rzeczywistości zapuszczonego miasteczka. Ale w spojrzeniu rodaków, oprócz podziwu i zrozumiałej zazdrości, jest też współczucie. Współczucie i niedowierzanie, które Anna wzbudza jako osoba całkowicie obca i przez to niepokojąca. „Jak to? Trzydzieści dwa lata i ani męża, ani dzieci...”, powie

jedna z pracownic domu dziecka. Piękna modelka jedynie w optyce najmłodszych pozostaje pozbawioną wszelkich rys ikoną szczęścia i spełnienia.

Mijają kolejne dni pobytu w miasteczku, a bolesne wspomnienia na nowo otwierają zamknięty już rozdział. Każą bohaterce poczuć się nieswojo i obco w swoim idealnym życiu, które polega na rozdawaniu uśmiechów w pożyczonych kostiumach i szpilkach „kobiety sukcesu”. W miejscu, które jest zaprzeczeniem rozwoju i perspektyw, Anna przygląda się silnym więziom, stałym rytuałom i rutynie zapewniającej spokój. Tu właśnie trzeba odnotować, że z zamyślenia notorycznie wyrывa widza na poły komediowa postać partnera modelki, Michela. Fotograf biegnie z aparatem oszołomiony surowym pięknem plenerów i egzotycznymi kopułami monastyru. Fotografuje bez ustanku i bez umiaru, nie licząc się ze wstydem i poniżeniem, jakie generuje. Tropi biedę i śmieszno-straszny wschodni folklor. Zmusza do pozowania urobione w polu staruszki, gania lokalnego kloszarda, który „będzie sławny”, a jemu zapewni materiał o dzikim, ale fascynującym kraju.

Być może dość prostackie i nuworyszowskie spojrzenie Michela jest kąśliwą oceną cywilizacyjnych zdobyczy Zachodu, przede wszystkim chodzi jednak o odciążenie wątku, który z biegiem kadrów i dni nabiera smakowitej ciężkości. Anna zaczyna się orientować, że jej wizyta w Rosji nie jest tylko charytatywną wycieczką z workiem prezentów. Inni mają co do niej plany, każdemu jest coś winna, każdy dzień przynosi nowe rozterki i niespodzianki. Z czasem okazuje się, że Storożewa stworzyła nową bohaterkę i mówi o niej innymi środkami, ale wciąż opowiada tę samą historię. Anna, której szpilki grzęzną w błocie zaniedbanych podwórek, sama grzęźnie w pytaniach, na które nie znajduje łatwych odpowiedzi.

Okazuje się, że nie wystarczy stąd uciec, by zapełnić pustkę wykorzenia. Co więcej, w zasadzie nie da się już uciec. Los stawia przed Anną zadanie, na które nie ma ochoty – Luba, kulawa pracownica miejskiej bani, młoda dziewczyna bez szans na ciekawą przyszłość, jest jej siostrą. Młodszą siostrą, która trafiła do tego samego domu dziecka po tym, jak matka spłonęła w pożarze. Luba próbuje nawiązać z siostrą kontakt, na co Anna początkowo zgadza się jedynie pod dyktando sumienia. Z czasem okazuje się, że dwie kobiety dzielące zupełnie inne doświadczenia potrafią się do siebie zbliżyć, ale Storożewa jest subtelna i daleka od rozwijania krzepiącej fabuły o sile siostrzanej miłości.

Podział filmu na dziewięć dni, czyli dziewięć kolejnych odsłon wtajemniczeń bohaterki szukającej prawdy o sobie, jest właściwie dość arbitralny i niepotrzebny. Siłą obrazu jest to, co przykuwa uwagę w „Podróży ze

zwierzętami domowymi” – reżyserka portretuje swoje bohaterki w momencie transgresji. Podgląda je w chwili, kiedy orientują się, że właśnie zaczynają jakieś nowe, nieznane życie. Nie chodzi o spektakularne zmiany i wielkie decyzje, ale świadomość, że otwiera się właśnie kolejny rozdział, który trzeba jakoś oswoić, mając też na uwadze odpowiedzialność za innych.

Osobną sprawą pozostają wspaniałe malarskie zdjęcia, które stanowią dziś oczywistą markę rosyjskiego kina. Wszystko dzieje się w otoczeniu rzeki, która razem z monastylem zamyka miasto w jakiejś symbolicznej stałości praw i porządków. Drażni natomiast kreacja prowincji, w której obowiązkowo musi pojawić się kulawa pracownica bani, koza pilnująca obojczy, grzyb na ścianach i upośledzony sąsiad, który czasem strzela bez uprzedzenia, ale poza tym hoduje piękne białe róże. Świat trochę zwichnięty i w swojej groteskowości poetycki, na poły Schulzowski, na poły zapożyczony z uniwersum Kusturicy, jest jakimś obrazkowym stereotypem. Zachodnią wizją dzikiego Wschodu, który przeraża, ale i hipnotyzuje. No i jest swojski, w odróżnieniu od francuskich pomadek i kolczyków od Tiffany’ego.

Pęknięcia i zgrzyty nie przesądzają jednak o wartości nowego filmu reżyserki, która z upodobaniem opowiada o kobietach. Robi to precyzyjnie i z wyczuciem, potrafi też zaskoczyć widza, który projektuje sobie oczywiste rozwinięcia i zakończenia. „9 dni i jeden poranek” z pewnością nie jest obrazem wybitnym, ale przenosi nas w szczerą emocjonalnie opowieść o scalaniu rozbitej tożsamości. To wystarczająco dużo.